

Jeff Giles



NA KRAWĘDZI  
WSZYSTKIEGO

Świetnie napisana, mocna opowieść –  
będziesz jej więźniem do ostatniej strony!

Peter Jackson,  
reżyser *Władcy Pierścieni* i *Hobbita*





Jeff Giles



NA  
KRAWĘDZI  
WSZYSTKIEGO

Tłumaczenie Marta Duda-Gryc

IUVI

**Tytuł oryginału**  
*The Edge of Everything*

Copyright © 2017 by Jeff Giles  
Copyright © for the Polish translation by Marta Duda-Gryc, 2017  
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo IUVI, 2017

Opracowanie redakcyjne i DTP  
*Pracownia Edytorska „Od A do Z” (oda-doz.pl)*

Redakcja  
*Katarzyna Kolowca-Chmura*

Korekta  
*Katarzyna Kierejsza*

Typografia i skład  
*Anna Cupiał*

Projekt okładki  
*Studio Karandasz*

Wydanie I, Kraków 2017  
ISBN 978-83-7966-038-4



[www.iuvi.pl](http://www.iuvi.pl)  
[www.facebook.com/WydawnictwoIUVI](https://www.facebook.com/WydawnictwoIUVI)

*Dla Jenny*



Od początku czasu,  
już w dzieciństwie,  
sądziłam, że ból znaczy  
nie jestem kochana.  
Znaczył, że kocham.

Louise Glück, *Pierwsze wspomnienie*





# PROLOG

TO ONA nadała mu imię, czuła się więc tak, jakby do niej należał.

Powiedział, że tam, skąd przybył – a nazywał to miejsce Niziną – każdego przybysza w chwili, gdy tam dociera, pozbawia się imienia, jak ziarno odzierane z łupiny, by przypomnieć mu, że jest *nikim* i *niczym*. Podeszła do niego nieco bliżej. Powinna odczuwać lęk, widziała przecież, co zrobił Stanowi, nie bała się jednak. Stan zasłużył na wszystko, co go spotkało – i na wiele więcej.

Jezioro było zamrożone. Stali daleko, na środku tafli. Lód lekko się kołysał, powoli nieruchomiejąc. Pod nimi słychać było trzaski, jakby lodowa pokrywa miała zaraz pęknąć. Stana już nie było, ale jego krew zdążyła wsiąknąć w lód. Ciemniała konstelacją kropel u ich stóp.

Nie chciała na to patrzeć. Zaczęła wymieniać imiona, a on słuchał w milczeniu; w jego oczach malowały się niepewność i cierpienie. Miała ochotę podejść jeszcze bliżej, lecz obawiała się, że go wystraszy. Ale przecież mogła się z nim podroczyć.

Powiedziała mu, że wygląda albo jak Aragorn, albo jak Fred. Przechylił z zakłopotaniem głowę – nie rozumiał. Będzie musiała popracować nad jego poczuciem humoru.

Poza tym nie było w nim nic, co by chciała zmienić. Miał rozczochrane, ciemne włosy, które okalały jego twarz jak pędy winorośli. Na bladej skórze, wysoko na policzkach, widać było wyraźnie sińce. Wyglądało to tak, jakby ktoś chwycił go za twarz i wbił w nią paznokcie. I jakby ktoś robił to wielokrotnie. Przez całe lata. Nie zapytała, kto tak się nad nim znęcał ani dlaczego został wysłany do takiego miejsca jak Nizina. Zbyt wcześnie było na takie pytania.

Powiedział jej, że nawet jeśli nada mu imię, lordowie Niziny nie pozwolą mu go używać. Wcześniej krzyczał z taką pasją na Stana. Ale do niej mówił cicho i z wahaniem. Twierdził, że nie sądzi, by w ogóle zasługiwał na imię po tych wszystkich czynach, których się dopuścił. Do popełniania których go zmuszano.

Myśl o tym może i nie złamała jej serca, ale na pewno mocno je ukłuła.

A teraz patrzył na nią – wpatrywał się w nią tak, jakby widział jej duszę, jakby sądził, że jest na coś odpowiedzią.

– Człowieku, naprawdę. – Rzuciła mu figlarne spojrzenie. – Przestań już tak na mnie patrzeć.

Powiedziała mu, że każdy zasługuje na imię – i że ci „lordowie” mogą się wypchać.

Powiedziała, że ona sama nazywa się Zoe Bissell.

Kiwnął głową. Już to wiedział. Ale skąd mógł to wiedzieć?

Oświadczyła, że będzie go nazywać Ikssem, dopóki nie dowie się, jakim jest człowiekiem. Iks jak *niewiadoma*. Zoe miała siedemnaście lat i przeżyła już wiele okropnych, samotnych chwil – wiedziała, że szaleństwem byłaby kolejna próba zaprzyjaźnienia się z kimś, choćby była to tylko jedna osoba. Ale cierpienie Iksa, kimkolwiek był, mogło pomóc jej zapomnieć o własnym bólu.

Powiedziała mu, że jeśli Nizina zabierze mu imię, ona po prostu nada mu kolejne.

– Na przykład Fred. – Spróbował się uśmiechnąć.

Uczył się.



CZĘŚĆ PIERWSZA

**RATUNEK**



# ROZDZIAŁ 1

ZOE POZNAŁA IKSA w lutym, w niedzielę, kiedy od strony Kanady nadciągała zamieć śnieżna, a niebo było tak ciemne, jakby nad Montaną zamykało się wieko trumny.

Śnieżyca miała dotrzeć do ich góry dopiero za godzinę, matka Zoe pojechała więc do sklepu, żeby mieli co jeść podczas niepogody. Zoe chciała się z nią wybrać, ponieważ mamie nie można było ufać, jeśli chodziło o zakupy spożywcze. Nigdy. Mama była niesamowitą kobietą, i to pod wieloma względami. Ale jednocześnie była zatwardziałą weganką i jej koncepcja obiadu opierała się na tofu albo seitanie, a te – jak stale powtarzała Zoe – smakowały jak zwłoki kosmity.

Mama uparła się jednak, że Zoe i jej brat Jonah mają zostać tam, gdzie jest bezpiecznie, czyli w domu. Była niemal całkowicie pewna – tak mówiła – że zdąży zjechać na dół i wrócić przed śnieżycą. Zoe prowadziła już samochód podczas zamieci śnieżnej i miała niemal całkowitą pewność, że mama nie zdąży.

Nie była zachwycona tym, że postawiono ją na straży domu. Po części dlatego że Jonah był głupkiem, choć nie mogła go tak nazywać, zgodnie z tym, co głosiła lista zawieszona przez mamę nad ogromną sokowirówką w kuchni: „NIEFAJNE SŁOWA, KTÓRYCH NIE MOGĘ Z CZYSTYM

SUMIENIEM TOLEROWAĆ”. Ale przede wszystkim czuła się tak, ponieważ miejsce, w którym mieszkała całe życie, nagle zaczęło jej się wydawać groźne i dziwne. W listopadzie, podczas wyprawy do jaskini zwanej Czarną Łzą, zginął jej ojciec. A potem, w styczniu, ludzie, których kochała najbardziej na świecie – starsza para mieszkająca w sąsiedztwie, Bert i Betty Wallace’owie – zostali porwani z domu przez nieznanego napastnika i nigdy ich nie odnaleziono. Żałoba po nich ciążyła na sercu Zoe jak zimny głaz. A co dopiero mógł czuć Jonah – trudno jej było to sobie nawet wyobrazić.

Słyszała teraz, jak brat goni na zewnątrz Spocka i Uhurę niczym maniak z ADHD, którym zresztą był. Pozwoliła mu wyjść z domu, bo błagał, że chce się pobawić z psami, a poza tym – szczerze – nie mogła dłużej znieść przebywania z nim sam na sam. Miał osiem lat. Gdyby odmówiła, zawracałby jej głowę do znudzenia („No pozwól mi wyjść na dziesięć minut, Zoe! No dobra, na pięć minut! No dobra, na dwie minuty! Mogę na dwie minuty? No dobra, a może jednak na pięć?”) Nawet gdyby udało jej się sprawić, by się wreszcie zamknął, i tak musiałyby siedzieć z nabuzowanym energią bratem w małym domu położonym wysoko na górze, w zupełnym odosobnieniu, z widokiem na zamieć śnieżną nadciągającą wprost na nich jak rozwścieczona armia...

Sprawdziła w internecie pogodę. Wiatr przyniósł ochłodzenie – temperatura spadła do minus dwudziestu trzech stopni.

Zoe wiedziała, że powinna zawołać brata do środka, wciąż to jednak odwlekała. Nie była jeszcze psychicznie gotowa na przebywanie z nim. Dobrze chociaż, że każdy jego centymetr ubrała tak ciepło, jak się tylko dało: zielona skaterska bluza, puchowa kurtka i czarne rękawiczki ozdobione czaszkami świecącymi w ciemności. Uparła się, by włożył rakiety



śnieżne – w przeciwnym razie mógłby wpaść w zaspę i utonąć w śniegu. A potem spędziła pięć minut, mocując mu je do butów, podczas gdy Jonah wiercił się i podrygiwał, jakby raziła go prądem. Naprawdę zachowywał się idiotycznie.

Zerknęła na telefon. Była piąta; przyszły też dwa SMS-y.

Pierwszy był od Dallasa – chodziła z nim mniej lub bardziej regularnie przed śmiercią taty.

Napisał:

*Śnieżyce są spoko! Wszystko OK??*

Dallas był fajnym facetem. Miał umięśnioną sylwetkę, a kiedy się uśmiechał, robiły mu się dołeczki w policzkach; krótko mówiąc, typ bejsbolisty – ładny, ale niezbyt w guście Zoe. Poza tym jego tatuaż zabijał nastrój, ilekroć Dallas zdejmował koszulkę. Podobno w studiu tatuażu co chwilę zmieniał zdanie z „Nigdy nie przestawaj!” na „Nawet nie próbuj przestać!” i tatuażysta się pogubił, w związku z czym tatuaż głosił: „Nawet nie przestawaj przestać!”. Dallasowi, ponieważ był Dallasem, niezmiernie się to spodobało i przybił za to piątkę tatuażysty.

Zoe odpisała mu w dallasowym stylu.

*Lajtowo. Thx, ziom. Jak zwykle rządzisz (tak się mówi, prawda?)*

Drugi SMS wysłała jej najlepsza przyjaciółka Val.

*Ta śnieżyca to koszmar. Koszmar! Pójdę się zdrzemnąć z Glorią i udam, że go nie widzę. Mówię BARDZO poważnie o tej drzemce. Potrzebujesz CZEGOŚ, zanim zaczniesz się drzemka?? Gdy drzemka będzie w toku, będę dla ciebie NIEDOSTĘPNA*

Dziewczyna Val była niesłychanie nieśmiała, Val zaś... wręcz przeciwnie. W Glorii kochała się szaleńczo już od ponad roku i bez przerwy robiła dla niej piękne, nieco zwariowane rzeczy, na przykład takie jak konto na Tumblrze poświęcone w całości stopom Glorii.

Zoe odpisała:

*Czemu wszyscy się o mnie martwią? Wszystko u mnie W PO-  
RZADKU! Idź się zdrzemnij, o Bogini Drzemki! Będę cicho jak  
myszka!!!!*

Uśmiechając się do siebie, dodała kilka emoji: budzik, młotek i bombę.

W odpowiedzi Val wysłała jej jeszcze:

*Też cię kocham, wariatko!*

ZOE ZNALAZŁA w szufladzie w kuchni taśmę klejącą i okleiła nią okna na parterze, żeby nie pękły podczas zamieci. Mama mówiła jej, że robienie tego, kiedy nadchodzi śnieżycy, jest głupie, a może nawet niebezpieczne. Zoe poczuła się jednak dzięki temu w pewien sposób bezpieczniej, poza tym wypełniło jej to czas. Wyjrzała przez okno i zobaczyła, jak Jonah i czarne labradory przeskakują tam i z powrotem przez zamrzniętą rzeczkę w dolnej części ogrodu. Mama zakazała tego na innej liście, którą zrobiła: „NIEFAJNE ZACHOWANIA, KTÓRYCH NIE MOGĘ Z CZYSTYM SUMIENIEM TOLEROWAĆ”. Zoe udała, że nie zauważyła, co robi brat. A potem odwróciła od niego wzrok, by nie widzieć, jeśli zajmie się czymś jeszcze gorszym. Poszła na górę i nakleiła wielkie ikсы z taśmy na oknach na piętrze. Dorzuciła też kilka liter O, żeby – kiedy matka wreszcie wróci – wyglądało to tak, jakby olbrzymy grały sobie na ich domu w kółko i krzyżyk.

Skończyła oklejanie okien w pół do szóstej, kiedy śnieżycy dotarła już do ich góry. Zrobiła sobie kawę – czarną, ponieważ mama kupowała tylko mleko sojowe, które smakowało jak łyżki kosmitów – i przeszła do salonu. Popijając przy oknie kawę, patrzyła na las, który zaczynał się na samym dole ich ogrodu i ciągnął się jeszcze niżej, do samego jeziora. Teren, który należał do ich rodziny, był niemal w całości pustym kawałkiem

góry, ale tuż przy domu rósł mały zagajnik modrzewi, który dawał im latem cień. Modrzewie gięły się teraz na wietrze. Gałęzie uderzały i drapały w okno, jakby drzewa chciały się dostać do środka.

Mamy nie było od dwóch godzin. Policja na pewno już rozstawiła blokady na drogach i chociaż mama nie była kimś, kto godzi się pokornie z odmową, gliniarze na pewno nie pozwolą jej wrócić dziś na górę. Zoe zepchnęła tę myśl na samo dno, do przegródki w mózgu z napisem: „Nie otwierać”. Stała w drzwiach frontowych i zawołała brata. Ależ była idiotką, że tak długo pozwoliła mu zostać na zewnątrz. Tę myśl też od siebie odepchnęła.

Jonah nie odpowiedział. Zresztą wcale się tego nie spodziewała. Kochała tego małego łobuza, ale zwykle czuła się tak, jakby jego jedynym życiowym celem było rzucanie jej bez przerwy kłód pod nogi. Wiedziała, że ją słyszy. Po prostu nie chciał jeszcze kończyć zabawy z psami. Nie mogły wchodzić do domu, nawet podczas burzy czy śnieżycy. Jonah uważał to za okrutne. Raz zorganizował nawet protest z prawdziwym transparentem na tyczce.

Zoe zawołała brata jeszcze trzy razy: głośno, głośniej, jeszcze głośniej.

Żadnej odpowiedzi.

Znów sprawdziła pogodę. Było dwadzieścia pięć stopni poniżej zera.

Za oknem widziała tylko biel. Wszystko było bezkształtne, przykryte grubą warstwą śniegu: jej wyjątkowo dziadowski czerwony samochód, zbiornik na kompost, a nawet duży drewniany niedźwiedź na podjeździe, którego wyrzeźbił dla mamy Rufus, jej dziwaczny przyjaciel artysta. Na samą myśl o tym, że będzie musiała się ubrać i wyjść w zamieć, żeby zawlec smarkacza do domu, Zoe poczerwieniała ze złości. Nie

będzie się nawet mogła poskarżyć mamie, bo w końcu nie powinna go była w ogóle wypuszczać z domu. Jonah zawsze potrafił zrobić tak, by wyszło na jego. Był wariatem, ale wariatem inteligentnym.

Wykrzyknęła imiona Spocka i Uhury. Cisza. Spock, dwa lata młodszy, był wielkim tchórzem. Zapewne chował się pod traktorem w stodole, drząc z zimna. Uhura jednak była prawdziwą ryzykantką i nie bała się niczego. Powinna przybiec od razu.

Zoe westchnęła. Nie było rady, musiała poszukać brata.

Włożyła szalik, rękawiczki, zimowe buty, niebieską puchową kurtkę i czapkę z pomponem, którą Jonah zrobił dla niej na drutach, kiedy zginął tata (Uhura zżarła pompon i zamiast niego w czapce była teraz dziura, która stopniowo się powiększała). Zoe uznała, że nie warto zakładać raket, bo zamierzała być na zewnątrz tylko tyle, ile zajmie jej doprowadzenie brata do domu. Pięć minut. Może dziesięć. Maks.

Zdawała sobie sprawę, że nie ma sensu marzyć, by tata był tu z nią i pomógł jej odszukać Jonaha. Ale i tak tego zapragnęła. Wspomnienia związane z ojcem napłynęły tak nagle, że aż zeszywniała.

TATA Zoe był zabawny, pełen entuzjazmu i... totalnie, irytująco nieodpowiedzialny. Miał obsesję na punkcie wszystkiego, co dotyczyło jaskiń, łącznie z nietoperzami i płazami. Interesował się nawet, nie wiadomo dlaczego, błotem jaskiniowym, w którym – jak twierdził – tkwił sekret wspaniałej cery. Przyносił do domu pełne błota woreczki strunowe i próbował smarować nim twarz żony. Mama śmiała się i piszcziała, i uciekała z udawanym przerażeniem. A potem tata sam sobie smarował policzki błotem i gonił Jonaha i Zoe po domu, wydając z siebie ryki jak prawdziwy potwór.

No więc tak, tata był dziwny, zresztą ktoś, kto łązi po jaskiniach, siłą rzeczy musi być dziwny. Był jednak dziwny w fajny sposób. A w zasadzie był niesamowicie wręcz dziwny. Był bardzo chudy i bardzo zwinny, a jeśli wyprostował ręce nad głową jak Superman, potrafił czołgać się przez niesłychanie wąskie tunele. Ćwiczył to, przeciskając się przez wygięty w owal druciany wieszak. Przeczolgiwał się też tam i z powrotem pod samochodem. Robił to specjalnie na oczach wszystkich, kiedy do Zoe przychodzili Val czy Dallas. Dallas też był grotolazem i uważał, że to coś fantastycznego. Val odwracała zaś oczy, ilekroć ojciec Zoe popisywał się w dziwny sposób, i mówiła: „W ogóle tego nie widzę. Tak wyglądam, kiedy tego nie widzę”.

Zoe zaczęła chodzić po jaskiniach z tatą, kiedy skończyła piętnaście lat. (Nikt nie nazywał tego speleologią – niby czemu?) Łazili pasjami po grotach każdego lata i jesieni, dopóki śnieg nie zakrył wejść, a lód nie zamienił podziemnych korytarzy w zdradliwe pułapki. Początkowo Zoe nie podchodziła do tego z pełnym entuzjazmem, ale potrzebowała czasu spędzanego z ojcem i musiała mieć pewność, że go z nim spędzi. Jeśli nie chodziło o jaskinie, nie można było mu zaufać, że się pojawi.

Była przyzwyczajona do jego nagłych nieobecności, podobnie jak przywykła do tego, że były sprawy, o których nigdy nie mówił. (Jego rodzice, dom rodzinny w Wirginii, wszystko, co dotyczyło jego dzieciństwa i młodości – te fragmenty mapy nigdy nie zostały wypełnione). Ojciec specjalizował się w wielkich gestach – zmienił nazwisko na Bissell, zamiast poprosić mamę Zoe, by zmieniła swoje – a oprócz tego potrafił być całymi tygodniami najfajniejszym tatą pod słońcem. Sprawiał, że Zoe czuła się przytulnie i bezpiecznie, jakby przy jej łóżku świeciła świeczka albo lampka. A potem nastrój w domu ulegał niewypowiedzianej zmianie. Tracił wyraz. Samochód

terenowy taty zniknął i wiadomo było, że Zoe nie dostanie od niego przez całe tygodnie nawet SMS-a.

Przestała w końcu słuchać wymówek ojca. Zwykle chodziło w nich o jakiś dziwny interes, który próbował rozkręcić, o „zdobycie tego cholernego dofinansowania”. Kiedy była młodsza, winiła się za to, że tata nigdy nie zostawał w domu dłużej niż parę miesięcy. Może nie była wystarczająco interesująca. Może nie była wystarczająco miła. Jonah był jeszcze tak mały, że uwielbiał ojca bezwarunkowo. Mówił do niego „pan tata” i każde jego pojawienie się traktował jak spotkanie z gwiazdą.

Zoe wiedziała, że zawsze będzie miała wspólne z tatą wyprawy do jaskiń, i nie oczekiwała już od niego niczego więcej. Toteż tego pamiętnego dnia w listopadzie, gdy obudziła się i dowiedziała, że poszedł do jaskini bez niej, odczuła to jako zdradę.

Policja zorganizowała akcję ratunkową. Zoe wymyśliła przegródkę z napisem: „Nie otwierać” – na wspomnienia.

ZOE MRUKNEŁA POD NOSEM coś brzydkiego na temat Jonaha, gdy tylko wyszła z domu i ruszyła na poszukiwanie jego i psów. Widziała zaledwie na metr czy dwa przed sobą i co kilka kroków musiała się zatrzymywać, by złapać oddech. Wiatr i śnieg – czuła się tak, jakby boksowały ją w brzuch.

Światło dnia szybko przygasało. Wieko trumny nad Montaną miało niebawem się zatrasnąć.

Pomacała w kieszeniach i, o dziwo, szczęście się do niej uśmiechnęło. Znalazła latarkę, która w dodatku działała.

Pięć minut zajęło jej samo zejście nad rzeczkę, przy której bawił się wcześniej Jonah. Nie było tu ani jego, ani psów. Zostało tylko wgłębienie po orle, którego chłopiec zrobił w śniegu, już częściowo wypełnione przez śnieżycę, oraz dwa dziwne,

nieregularne wgłębienia obok – zapewne Jonah próbował zachęcić Spocka i Uhurę do zrobienia psich orłów.

Wrzasnęła: „Jonah!”, ale jej głos nie przebił się daleko. Wiatr odepchnął go z powrotem.

Po raz pierwszy poczuła, że panika łapie ją za gardło. Wyobraziła sobie, jak mówi mamie, że zginął jej Jonah, i wiedziała, jak serce jej matki rozdziera się niczym Gwiazda Śmierci w *Gwiezdnych wojnach*. Jeśli małemu coś się stanie, mama nigdy się z tego nie podniesie. Zoe spróbowała zepchnąć również i tę myśl do specjalnej przegródki w mózgu. Ale przegródka nie była bez dna i wszystko zaczynało się z niej teraz wymykać.

Zoe natrafiła w końcu na ślady brata i ruszyła za nimi wokół domu. Szła powoli, bo musiała nachylać się nisko nad śniegiem, jak garbus, żeby nie stracić z oczu tropów. Wiatr odrywał z drzew gałęzie i miotał nimi przez ogród. Każdy krok zdawał się ponad jej siły. Pot spływał jej po plecach, choć jednocześnie trzęsła się z zimna. Wiedziała, że pocenie się na takim mrozie nie wróży nic dobrego. Traciła w ten sposób ciepłość ciała. Musiała przyspieszyć kroku, znaleźć Jonaha i wrócić do domu. Ale jeśli będzie się ruszać szybciej, będzie się jeszcze bardziej pocić i jeszcze prędzej wychłodzi organizm.

Była to kolejna myśl, na którą zabrakło miejsca w przegródce.

A może Jonah był już z powrotem w domu. Tak. Na pewno. Zoe widziała oczami wyobraźni, jak Jonah z policzkami i dłońmi napuchniętymi i zaróżowionymi od mrozu rozsypuje kakao na podłogę w kuchni. Powiedziała sobie, że niepotrzebnie się martwi. Szła dalej za jego śladami, pewna, że poprowadzą prosto do drzwi.

Ale trzy metry od schodów na ganek ślady odbijały w dół i znikwały w lesie.

Zoe weszła ostrożnie między drzewa i krzyknęła, ale wiedziała, że to bez sensu. Będzie musiała pójść dalej za bratem i labradorami. Policzki i uszy piekły ją, jakby poparzyła się na słońcu. Jej ręce, choć w rękawiczkach, zeszywniały w małe rzeźby zaciśniętych pięści.

PRZECIEŻ UWIELBIAŁA LAS. Dorastała, biegając wśród drzew, a światło słońca rozpryskiwało się u jej stóp. Drzewa schodziły nad jezioro, tam gdzie mieszkali Bert i Betty Wallace'owie. Dla Zoe i Jonaha byli przyszywanymi dziadkami. Drzwi starszków były dla nich zawsze otwarte, również wtedy gdy tata wyjeżdżał na swoje tajemnicze wyprawy, a kiedy zginął, sąsiedzi stanowili dla Zoe i jej brata stałe, pełne serdeczności oparcie. Bert i Betty niedołączyli jednak coraz bardziej. Jeszcze jesienią Zoe dotrzymywała towarzystwa Bertowi, kiedy wycinał z gazety zdjęcia zwierząt. Co jakiś czas rzucał ni stąd, ni zowąd jakieś dziwne zdanie, na przykład: „Daj mi spokój, jestem tylko zwariowanym starym fiksatem!”. (Kiedy go zapytała, co to jest „fiksat”, przewrócił oczami i powiedział: „Daj mi spokój, to to samo co głupiec!”). Jonah siadywał po turecku na podłodze i robił z Betty na drutach. Kiedy dawno temu nauczyła go dziergania, okazało się, że to jedna z nielicznych rzeczy, poza obgryzaniem paznokci, które łagodziły jego ADHD i powstrzymywały mózg przed zawrotnym zwiększaniem tempa pracy (niczym blender, który wyrwał się na wolność). Pod koniec ich znajomości ręce Betty jednak cały czas już się trzęsły i zapomniiała wszystko, co wiedziała o robótkach ręcznych. Pod koniec to Jonah uczył ją, jak panować nad drutami.

A potem – w ubiegłym miesiącu – państwo Wallace'owie zniknęli. Betty, która była sprawniejsza fizycznie, podobno zdołała wyrwać się na chwilę napastnikowi i zaciągnęła Berta do ich pick-upa. Przynajmniej taka była teoria policji, stworzona



w związku z krwią wykrytą na kierownicy. Samochód znaleziono sto metrów od domu – rozbity o drzewo. Silnik wciąż chodził. Pick-up miał pootwierane drzwi, ale po Betty i Bercie nie było ani śladu. Znaleziono tylko jeszcze więcej krwi. Gdy Zoe wyobrażała sobie, jak Bert i Betty patrzą nierozumiejącym wzrokiem na kogoś, czyja twarz wyraża tylko chęć mordy, serce ścisnęło się jej tak mocno, że ledwo mogła oddychać.

Dom Wallace'ów pozostawiono w takim stanie, w jakim był, pusty niczym muzeum, podczas gdy prawnicy rodziny szukali najnowszej wersji testamentu. Zoe obiecała sobie, że nigdy tam nie pójdzie. Było to dla niej zbyt bolesne. Jezioro za domem Berta i Betty skute było ciemnoszarym lodem. Nawet las wydawał się straszny – gęsty, wrogi, jak puszcza, do której w baśniach zabiera swoją ofiarę zła macocha.

Mimo tych wszystkich myśli dotarła na skraj lasu – dom państwa Wallace'ów przyciągał ją nieubłaganie. Jonah teoretycznie wiedział, że podczas zamieci nie powinien wchodzić do lasu. Jeśli jednak psy pobiegłyby w gąszcz, na pewno by za nimi poszedł. Spock i Uhura mieszkały przecież u rodziny Zoe od miesiąca, wcześniej należały do Berta i Betty. Może ruszyły między przystrojone lodem drzewa, sądząc, że wracają do domu.

TEREN NALEŻĄCY do Bissellów był oddalony od domu nad jeziorem o nieco ponad kilometr. Zwykle wystarczył piętnastominutowy spacer i nie można się było zgubić po drodze, ponieważ Betty zrobiła dla dzieci siekierą znaki na drzewach wytyczające kierunek marszu. Poza tym las był podzielony na trzy części, więc zawsze można było się zorientować, gdzie się jest, jeśli ktoś się zagapił. Pierwszą część jakiś czas temu wycięto – mama Zoe wołała określenie „zgałcono i splądrowano” – więc w pobliżu ich domu rosły tylko młode drzewa.

Były to głównie sosny wydmowe, z łuszczącą się korą. Posadzono je jedną przy drugiej, tak że wyglądały, jakby tuliły się do siebie z zimna.

Druga część lasu była ulubionym zakątkiem Zoe. Rosły tam ogromne modrzewie i daglezie – drapacze chmur Montany. Miały tylko około stu lat, ale wyglądały tak, jakby żyły w epoce dinozaurów, jakby pojawiły się wraz z Ziemią.

Drzewa najbliższej jeziora spłonęły w pożarze, zanim Zoe przyszła na świat. Nigdy jednak nie zwały się na ziemię i na odcinku pół kilometra wciąż sterczały zwęglone, martwe pnie. Panowała tam upiorna atmosfera – i oczywiście Jonah najbardziej lubił właśnie tę część lasu. To właśnie tam odgrywał wszystkie swoje scenariusze zabaw w żołnierza apokalipsy.

Wędrówka do domu Berta i Betty oznaczała zatem marsz ścieżką najpierw między młodymi drzewami, potem starymi, a na koniec martwymi. Zoe i Jonah przeszli tędy z tysiąc razy. Nie można było się tu zgubić – a w każdym razie nie na długo. I nie w normalną pogodę albo za dnia.

Kiedy Zoe przeszła kilkanaście kroków w głąb młodnika, nagle zapanowała wokół niej cisza. W powietrzu słychać było tylko lekki szum podobny do dźwięku, jaki wydaje butelka, gdy ktoś dmucha w jej szyjkę. Poczua się bezpieczniej i było jej odrobinę cieplej. Poświeciła latarką na korony drzew, a potem na posępne niebo powyżej i naszła ją nagła, dziwna, senna ochota, by po prostu klapnąć na śnieg i odpocząć. Potrząsnęła głową, by przegonić ten impuls. Mróz już spowalniał pracę jej mózgu. Jeśli usiądzie, nigdy się nie podniesie.

Zatoczyła szeroki łuk światłem latarki, starając się znów dojrzeć ślady brata. Światło było słabe, albo przez baterie, albo przez mróz, ale w końcu udało się jej wypatrzeć to, czego szukała. Jonah wyruszył prawdopodobnie dziesięć minut wcześniej, a ponieważ miał rakiety, szybciej posuwał się do przodu.

To było jak zadanie z matematyki: jeśli pociąg A wyjeżdża ze stacji o 16.30 i jedzie z prędkością 90 kilometrów na godzinę, a pociąg B wyjeżdża dziesięć minut później i rozwija prędkość 70 kilometrów na godzinę... Umysł Zoe był zbyt otępiały, by rozwiązać to zadanie, ale jedno wiedziała: ma przerąbane.

Jonah znał ścieżkę nad jezioro, ale chyba szedł za psami. Ślady ich łap były niewyraźne i nieregularne. Może się bawiły. Może goniły kuropatwę albo indyki, które czasem chowały się przed zamiecią pod najniższymi gałęziami drzew. A może po prostu wariowały z powodu tego okropnego zimna.

Zoe widziała wyraźnie, że odciski rakiet podążały za krętymi tropami labradorów. Trudno jej było ocenić, czy Jonah po prostu bawił się z psami, czy przerażony błagał je, by zawróciły. Powtarzała sobie w myślach jak mantrę: *Po prostu idź do domu, Jonah. Chyba zwariowałaś. Po prostu zostaw psy. Po prostu odejdź.* Ale wiedziała, że nieważne, jak straszna byłaby sytuacja, i tak nigdy nie opuściłby psów – i była przez to na niego wściekła, a jednocześnie czuła, że bardzo go za to kocha.

Nadal więc wlokła się przez las. *Wyciągnąć prawą nogę ze śniegu, podnieść ją, włożyć ją znów w śnieg. Wyciągnąć lewą nogę i powtórzyć wszystko od nowa. I jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz.* Zoe straciła rachubę czasu. Przejście stu metrów trwało wieki – a wydłużało się jeszcze bardziej, kiedy musiała przełazić przez powalone drzewo. Zaczynały ją boleć nogi i kolana, ból objął też ramiona i kark. Obsesyjnie myślała o dziurze na czubku czapki, tam gdzie kiedyś był pompon. Wyobrażała sobie, jak otwór się coraz bardziej powiększa i prawie już czuła kościste palce wiatru we włosach.

Po dwudziestu minutach policzki Zoe, częściowo wystawione na wiatr, paliły żywym ogniem. Przez głowę przemknęła jej myśl, by ściągnąć rękawiczki i w jakiś sposób zdjąć sobie skórę z twarzy – ale od razu zdała sobie sprawę, że byłoby to

kompletne szaleństwo. Jej mózg przestał grać w tej samej drużynie co ona. Przeraziło ją to do głębi.

Teren zaczął się wyrównywać. Zoe ujrzała przed sobą ogromną, starą dagleźję. *Nowe drzewa, stare drzewa, martwe drzewa*. Pokonała niemal jedną trzecią drogi przez las. Powiedziała sobie, że musi iść do przodu, nie może się zatrzymać za żadne skarby, dopóki nie dotknie tego pierwszego wielkiego drzewa. Wtedy może wszystko znów stanie się bardziej rzeczywiste.

Jakieś trzy metry od drzewa Zoe potknęła się o coś pod śniegiem i upadła prosto na twarz. Czaszkę przeszył jej ból. Uderzyła głową o skałę albo o pień i już czuła, jak na czole wyrasta jej guz. Zdjęła rękawiczkę i dotknęła skóry. Kiedy popatrzyła na swoją dłoń, jej palce były ciemne od krwi.

Uznała, że i tak nie jest źle.

Zmusiła się, by uklęknąć, a potem z trudem wstała. Przeszła jeszcze kilka metrów – pierwsza dagleźja posłużyła jej za cel. Gdy wreszcie dotarła do drzewa i oparła się o pień, owdąnęło ją poczucie ulgi – nieważne, jak straszna jest sytuacja, przy choince człowiek zawsze czuje się lepiej.

Zoe była teraz w drugiej części lasu. Zostało jej do przejścia nieco ponad pół kilometra. Ogromne drzewa wystrzeliwały w niebo i stały w takich odstępach od siebie, że resztki światła dziennego docierały aż do ziemi. Wyraźnie było tutaj widać ślady chłopca i psów. Wyglądało na to, że trzymali się teraz ścieżki. Zoe poszła za nimi, starając się skupić myśli na rytmie marszu.

Wyobrażała sobie, jak znajduje brata i idzie z nim do domu. Jak otula go kocami, a on się śmieje i krzyczy: „Nie! Jestem! Należnikiem!”.

Była na zewnątrz zaledwie trzydzieści czy czterdzieści minut, ale temperatura spadła już zapewne do minus trzydziestu.

Trzęsła się jak porażona prądem. Zanim pokonała połowę drogi przez las daglezji, czuła ból w każdej części ciała, drząc jak kamerton. Zamieć przybierała chyba na sile. Las rozpadał się wokół niej na czynniki pierwsze. Wicher odrywał gałęzie i miotał nimi we wszystkie strony. Udało mu się też powalić całe drzewa, które przewrócone na ścieżkę zagradzały drogę.

Zatrzymała się i oparła o pień. Musiała odpocząć. Omiotła światłem latarki teren wokół siebie, usiłując ustalić, jak daleko było jeszcze do jeziora. Miała jednak tak zgrabiąte ręce, że lampka wysunęła się jej z dłoni i wpadła w śnieg.

Światło zgasło.

Osunęła się na kolana, by poszukać latarki. Robiło się ciemno, musiała więc macać na oślep w śniegu. Dygotała coraz bardziej – z początku czuła się tak, jakby dotknęła ogrodzenia pod napięciem, ale teraz jej nerwy wręcz płonęły. Miała wrażenie, jakby sama była ogrodzeniem pod napięciem, ale nie była w stanie się tym przejmować. I nie przejmowała się guzem czy skaleczeniem, czy czymkolwiek, przez co jej czoło pulsowało bólem. Nie przejmowała się, że pod śniegiem kryły się ciernie i gałęzie i raniły jej skórę przez rękawiczki. Niemal nic już nie czuła. Po kilku minutach na kolanach – może dwóch, a może dziesięciu, nie miała pojęcia – jej palce natrafiły na coś w śniegu. Pисnęła z radości – o ile w ogóle mogła jeszcze odczuwać radość – i wyciągnęła przedmiot ze śniegu. Ale to nie była latarka.

Trzymała w dłoni rękawiczkę Jonaha.

Na rękawicze zalśniła czaszka – puste oczodoły wpatrywały się w nią jak tunele.

Oczami wyobraźni widziała, jak Jonah idzie przez las, potykając się, jak głośno płacze. Widziała jego przemarznąętą, czerwoną dłoń pulsującą od bólu. Widziała, jak błaga psy, by wróciły z nim do domu. (Teraz już na pewno je o to błagał).

Na chwilę ujrzała przed sobą jego twarz. Był podobny do ojca, na myśl o czym wciąż ścisnęło się w niej serce: niesforne brązowe włosy, oczy, które wydawały się niebieskie, ale w rzeczywistości mieniły się chłodną, niepokojącą zielenią. Jedyna różnica polegała na tym, że Jonah miał nieco pyzate policzki. *Chwała Bogu za dziecięcy tłuszcz*, pomyślała Zoe. Bo tego dnia być może to właśnie ocali go od śmierci.

Znalazła latarkę i okazało się, że jakimś cudem wciąż jeszcze działała. Zoe wstała i znów ruszyła przed siebie.

Kilka kroków dalej znalazła drugą rękawiczkę.

Trzy metry dalej trafiła na kurtkę brata.

Czarna, puchowa, pikowana kurtka z dziurami zaklejonymi taśmą izolacyjną wisiała na postrzępionym pniaku.

Zoe wyobraziła sobie, jak jej brat błądzi po lesie w szoku, ze swędzącą, rozpaloną skórą, czując się tak, jakby coś oblaźło całe jego ciało. Widziała w wyobraźni, jak ściąga z siebie ubranie i rzuca je na śnieg.

Brakło jej już prawie sił. Była przerażona. I niewiarygodnie wściekła na te kretyńskie psy, które były tak głupie, że nie wiedziały, że trzeba zostać blisko domu; które nie rozumiały, że jej wspaniały brat pójdzie za nimi – i będzie szedł za nimi przez śnieg, bez końca. Aż do śmierci.

Musiała wymazać z wyobraźni ten straszny obraz. W rozpacz sięgnęła po jakieś miłe wspomnienie. Przypomniała sobie, że Jonah chował się zawsze w tym samym miejscu, ilekroć bawili się z tatą w chowanego – w nieużywanej od lat starej zamrażarce w piwnicy. Zoe i tata zachowywali się tak, jakby nie mieli pojęcia, gdzie podziewa się Jonah, choć widzieli dobrze, jak jego paluszki podnoszą pokrywę, by wpuścić do środka powietrze. Przypomniała sobie, jaka radość malowała się na twarzy brata, kiedy wraz z tatą udawała, że się poddają – a Jonah otwierał nagle pokrywę zamrażarki i ukazywał się

publiczności niczym magik na zakończenie śmiertelnie niebezpiecznej sztuczki.

„Tu jestem! – krzyczał szczęśliwy. – Tu jestem! Tu jestem! Tu jestem!”

To wspomnienie napełniło ją ciepłem na kilka sekund. A potem zniknęło jak gasnąca na zawsze gwiazda.

ZOE DOSZŁA NA SKRAJ lasu daglezji, tam gdzie żywe drzewa nagle się kończyły, ustępując miejsca zwęglonym pniakom i martwym kikutom. Niosła kurtkę i rękawiczki Jonaha, przyciskając je mocno do siebie. Czy nadal wierzyła, że uda jej się odnaleźć brata, czy wlokła się tych ostatnich czterysta metrów do domu Berta i Betty, wierząc, że kiedy tam dotrze, padnie z wyczerpania? Sama nie wiedziała. Wychłodzenie wymazało w niej wszystko. Była pusta. Była jak zombi – posuwała się chwiejnie do przodu, bo nie wiedziała, co innego miałyby zrobić.

Światło latarki zahaczyło o coś: ciemny kształt nieco tylko wystający ponad śnieg.

Zoe powinna była poczuć podniecenie na ten widok, ale zamiast tego owładnęło nią przerażenie. Kształt leżący w śniegu nie poruszał się.

Nie chciała podchodzić bliżej. Nie chciała się dowiedzieć, co to jest.

Nie chciała, żeby to był jej brat.

Przejsie kolejnych pięciu metrów trwało wieki. I nawet gdy Zoe znalazła się zaledwie o kilka kroków od tego ciemnego kształtu – nawet gdy światło latarki padało już prosto na ten kształt, otulając go słabym, żółtym blaskiem – nie mogła pojąć, co widzi. Jej umysł odmawiał przyjęcia tego do wiadomości, odmawiał zarejestrowania rzeczywistości.

Zmusiła się, by podejść bliżej. Pochyliła się. Spojrzała w dół. Zobaczyła ciemną, splątaną masę. Nie poruszała

się – sprawiała wrażenie czegoś martwego. Zoe wstrzymała oddech i zmusiła się do skupienia wzroku.

W śniegu leżały psy.

Oba labradory były czarne i nie było widać, gdzie kończyło się futro Spocka, a zaczynało Uhury. Wyglądały jak czarny dywan, który ktoś porzucił na śniegu. Zoe uklękła. Psy wykopały płytką dziurę, by osłonić się przed wiatrem. Zdjęła rękawiczkę i przyłożyła dłoń najpierw do jednego, a potem do drugiego.

Oddychały! Serce aż jej podskoczyło.

Zwierzęta były odrętwiąłe – popadły w stan między snem a czymś znacznie gorszym. Minutę trwało, nim zauważyły, że masuje im brzuchy. W końcu zaczęły się wiercić w swoim lodowym posłaniu. Spock parsknął i wypuścił w powietrze kłęb pary. Uhura podniosła głowę i popatrzyła na Zoe. Wyglądało to tak, jakby ją rozpoznała i cieszyła się z jej obecności. Zoe była zbyt wyczerpana, by się rozpląkać, ale i tak omal tego nie zrobiła.

Spock i Uhura zaczęły intensywniej się kręcić, próbując oprzytomnieć. A kiedy ich ciała się rozdzieliły, kiedy znów stały się osobnymi zwierzętami, Zoe ujrzała wreszcie coś, co powinna była dostrzec natychmiast, a to, co zobaczyła, sprawiło, że znienawidziła się za wcześniejsze myśli – że są kretyńskimi psami. Wręcz przeciwnie, były wspaniałymi psami! Były dzielnymi, ślicznymi psami z Montany, o lśniącym futrze!

Bo psy leżały na czymś. Na kimś. Wykopały łapami dziurę i zaciągnęły go do niej – widziała, gdzie ich zęby rozdarły jego zieloną bluzę – a potem położyły się na nim. Na Jonahu. Położyły się na jej braciszku, by go ogrzać.





## SZCZĘCIE I CIERPIENIE, ŚWIATŁO I CIEMNOŚĆ DWA ŚWIATY I LUDZIE NA ICH KRAWĘDZI

Zoe ma 17 lat, zwariowaną matkę weganę, młodszego brata z ADHD i przyjaciółkę. Ma też za sobą trudny rok, kiedy tragicznie zmarł jej ojciec, a zaprzyjaźniona para starszuchów zaginęła bez śladu.

Jakby tego było mało, szukając brata podczas burzy śnieżnej, Zoe zostaje brutalnie zaatakowana i widzi coś, czego nie powinna widzieć. I kogoś. Nazwała go Iks.

Zoe nie wie, że to łowca głów pracujący na zlecenie lordów z Niziny – mrocznego i brutalnego miejsca, w które trafiają najgorsi szubrawcy.

Iks i Zoe nigdy nie mieli się spotkać. Łowcy nie mogą ujawniać się nikomu poza swymi ofiarami. Iks, aby uratować Zoe, łamie wszystkie zasady Niziny. I ponosi brutalne konsekwencje.

Beznadzieja, samotność i ból – Iks zna tylko to. Zoe pokazuje mu, że można żyć inaczej. Kiedy dowiadują się więcej o swoich światach, zaczynają zadawać pytania o przeszłość, własny los i przyszłość. Ale wyrwanie Iksa z Niziny i odcięcie się od przeszłości, która pęta Zoe, będzie od obojga wymagać konfrontacji z własną ciemną stroną.

Patroni medialni:



DOBRE KSIĄŻKI

BRAVO

dla studenta.pl

lubimyczytać.pl

Cogito

www.iuvi.pl

Cena 34,90 zł (w tym VAT 5%)  
ISBN: 978-83-7966-038-4



9 788379 660384 >